Barbara Woźniak
„Niejedno”
(fragment)

Kiedy byłem dzieckiem, a nawet w pierwszej połowie liceum, lubiłem okres przed Wielkanocą. Drogi krzyżowe, gorzkie żale, Wielki Tydzień. Chodziliśmy rodzinnie. Tylko Grażyna była tym wszystkim znudzona i chciała jak najszybciej wyjść z kościoła. Ja nie. I nie rozumiałem jej braku zaangażowania. Mnie odpowiadał nastrój tego czasu, stający w kontrze do odradzającego się na zewnątrz życia, tych krokusów, żonkili, magnolii, forsycji. A w kościele ciernie, hufnale, krew z wodą. I Szymon z Cyreny pomagający nieść krzyż, prostowałem się z dumy, choć przecież mu kazali.

Nie traktowałem też, jak Grażyna, chodzenia do kościoła jako przymusu. Choć w sumie tak było, nie mieliśmy możliwości, by odmówić.

Potem mi to wszystko przeszło, zbuntowałem się, powiedziałem, że koniec. Rodzice ciężko to znieśli, było sporo cichych dni.

Wielkanoc znów idzie. Nadciąga, a potem przejdzie jak pociąg towarowy, jak wszystko.

Na razie liczymy stacje.

Postanowiłem zabierać ojca do kościoła co piątek. Skoro sam by tam chodził. Na drogi krzyżowe.

Kolejny obowiązek, który musisz dźwigać?, zapytała Elżbieta.

Nie, raczej nie ta kategoria, odparłem.

A drogi krzyżowe są krótsze niż msze. Jest w stanie to wytrzymać, ja też, te mantry. Dla jego bolesnej męki.

I właśnie jest piątek. Ostatni piątek miesiąca.

Zaparkowaliśmy koło hotelu, pokręciliśmy się chwilę w okolicy wiecznie suchej fontanny z Układem Słonecznym, a potem w chłodnym, ciemnym wnętrzu zajęliśmy swoje stałe miejsca. Przedsionek, bezpieczne rejony drzwi.

Zaczyna się jak zwykle.

Jezus w Ogrodzie Oliwnym, zdrada, później Sanhedryn. Potem opoka się chwieje, też Szymon.

Ale i tak zbudował ten kościół. Wbrew rozumowi. *Ateny i Jerozolima*. Szestowienie.

Nigdy nie rozumiałem egzystencjalizmu, zwłaszcza rosyjskiego. Nie mówiąc o ateistycznym.

Prokurator Judei. Korony i tortury. Jest w tym jakaś poezja. Bierze krzyż. Cyrenejczyk. Kobieta z chustą, *phero nike*.

Podeszwę mam pękniętą, zapomniałem, a na zewnątrz zaczyna padać, słyszę bębnienie o witraż. Wracając, zajedziemy do galerii, kupię tym razem adidasy. O ile.

Potem wiadomo, łotr, matka, grób. I ani się nie zająkną o tym, co na trzeci dzień.

Ojciec się kiwa, mamrocze coś. Nachylam się do niego. Pamięta te modlitwy. Ja zresztą też, wystarczyła powtórka, systematyczna.

Kiedy wychodzimy z kościoła, słyszę imię, wypowiedziane spatynowanym głosem. Szymon.

Nagła jasność, mam poczucie odrealnienia.

Po raz pierwszy widzę wodę w tej fontannie. Deszcz.

*

Zrób sobie wieczór wolnego, mówi Maria, strzepując popiół z papierosa. Stoi na trawniku, dłubie w ziemi podeszwą znoszonych mokasynów. Patrzy mi badawczo w oczy. Zostań po zajęciach na noc w Krakowie, pójdź na koncert, do kina, do teatru. Z córką się spotkaj.

Z córką. Dawno jej nie widziałem. Nie mamy ostatnio kontaktu. Żadne z nas się nie odzywa. *Blackout*.

Maria kończy papierosa, wrzuca niedopałek do napełnionego wodą słoika służącego nam za popielniczkę, zajmuje miejsce przy ogrodowym stoliku.

Siedzimy na ganku przed domem, zaraz zacznie się kwiecień, choć słońce jak w pełni maja. W tle leci *Who by fire*, ojciec kiwa się do rytmu, na talerzu przed nim resztki sznycla, a ona znów podaje mu srebrnym widelczykiem deser – ptasie mleczko.

Mieliśmy wymienić protezę.

Mieliśmy trzymać dietę bezmięsną.

Mieliśmy jechać do Gdańska, kurwy w hełmach, czołgi radzieckie.

Mieliśmy zrobić milion rzeczy. Gdzieś była lista. Jak ja lubię listy.

Przydałoby się posprzątać na trawniku, Maria czyta mi w myślach, bo ciężko nie wdepnąć, no, wiesz w co, wskazuje głową na leżącą pod krzakiem Heidi: wykopała sobie tam jamę, w której chętnie się mości. Wiesz, mogę to zrobić, tylko…

Nie, ja to zrobię. Dziękuję.

Sam kilka razy ostatnio wdepnąłem w psią kupę, dokładnie: cztery, od kiedy mam nowe buty. Czyli od trzech dni. Zrywam się z krzesła. Biorę z kuchni worek na śmieci, gumowe rękawice. Mam uczulenie na lateks i nadzieję, że jakoś to będzie.

Od strony piekarnika dochodzi zapach jabłek, cynamonu i spalenizny. Maria coś piekła i chyba nie wyłączyła w porę piecyka.

A ja, wracając do ogródka, też nie w porę wyłączam Cohena. Już nie mogę go słuchać, już prawie go nienawidzę.

Zmieniam płytę.

Posłuchaj czegoś wesołego, radziła Elżbieta, nie wiem, może Coltrane'a? I wręczyła mi album, bo lubi dawać prezenty, robić przyjemności. Proszę bardzo, włączam Coltrane'a. A oni idą ćwiczyć, liczyć, rysować, malować. Bo tymczasem zjawiła się Ola.

Wkładam stare buty i w rytmie jasnych dźwięków saksofonu sopranowego schylam się do wyschniętych psich kup, jedną za drugą zamykam w dłoni obleczonej pomarańczowym lateksem i wrzucam do czarnego worka. Oczyszczam trawnik powoli, ale metodycznie. Przeczesuję go, skrawek za skrawkiem, dzielę w głowie na trójkąty prostokątne i równoramienne, myślę o Pitagorasie, Euklidesie, przestrzeniach, wektorach, poruszam się po krawędziach, w końcu gubię się w tym.

Przy okazji odkrywam, że nasz pies jada torebki foliowe. Co tam mikroplastik, idzie na całość, nie rozdrabnia się na cząsteczki.

Prostuję się z workiem w ręku, patrzę na dzieło.

Przerzedzona trawa, która miała być murawą boiska, rozbite i brudne okienka piwniczne, niedopałki w wypełnionym deszczówką słoiku, psy uwalane w ziemi, przeżuwające resztki sznycla, *these are a few of my favourite things*.

I plastik, koniecznie dużo plastiku.

Zrób sobie wieczór wolnego, mówiła Maria. Zostań po zajęciach w Krakowie. No to jestem.

Strzepuję popiół z papierosa. Schylam się, gaszę o płytę chodnikową. Wrzucam przez kratkę do ścieku.

Byłem na Konarskiego, wszystko wzorowo. Można by jeść tam z podłogi. Pić ze zlewu.

A teraz idę do kina. Czekam przed Mikro. Za chwilę przyjdzie Elżbieta, choć wcale nie miała ochoty na ten film.

Marianne i Leonard. Błagam cię, znowu smęty?

*

Spośród wszystkich bóli, które mam w dniach przed świętami: oczu z niewyspania, pleców od ciągłego siedzenia w przygarbionej pozycji, w nocy, w pociągu, nad laptopem, bólu gardła, znów, bo jednak za wcześnie przestawiłem się na lekką odzież, bólu prawego nadgarstka, tu nie znam powodu, najbardziej dojmujący jest ból głowy. Każdy kolejny papieros go podkręca. Podnosi ciśnienie. Czuję pulsowanie w skroniach, a fala przetacza się z karku ku potylicy, rozlewa na boki.

Każde światło jest wtedy za ostre.

Kolory agresywne, gryzą się.

Kontrasty falują, migoczą na stykach kolorów.

Hałas tłucze się we wnętrzu czaszki jak waląca o ścianę piłeczka do squasha.

A zapachy powodują u mnie silne mdłości.

Jak teraz. W starym czeskim wagonie, pośród ludzi. Pociąg z długim objazdem wokół miasta i szczelnie napakowany woniami. Długo szukałem miejsca wolnego od nich, nie znalazłem. Oprócz zapachu kilkudziesięcioletniego składu jest tu zwietrzały dym papierosowy, wżarty w nieczyszczone nigdy płaszcze, jest świeży pot, wódka bardzo wczorajsza i ludzie, którzy dziś pocą się piwem, są jedzone właśnie szynka i kiełbasa, jest spożywany regularnie czosnek, ostatnia deska ratunku, antybiotyk dla tych, którzy nie mogą lub nie chcą oglądać lekarza. I chyba wyczuwam słodki syrop z cebuli, domowy sposób na przeziębienie – pokrojone warzywo puszcza sok pod grubą warstwą cukru. Nie do przełknięcia, zwłaszcza trzeciego dnia.

Sposoby na zmartwychwstanie, by móc kontynuować pracę, czyli życie.

Za chwilę Wielkanoc.

A jeszcze z lewej strony perfumy z nutą piżma, a z prawej proszek do prania – nie dość wypłukana tkanina.

Wciskam nos w kołnierz golfowy w kojącym kolorze szarego melanżu. Tu nokautują mnie znów papierosy.

Szybko rezygnuję z patrzenia w czarne okno, z lektury, ze słuchania muzyki. Wyjmuję słuchawki z uszu i wyłączam telefon, starając się jak najkrócej mieć przed oczami ekran. Próbuję dać się uśpić płynnemu rytmowi. Koła stukają miarowo na szynach, ale to dzisiaj nie działa. Za głośno. W mojej głowie pracuje piłeczka do squasha, konsekwentna i niezmordowana.

Jadę z Krakowa do Tarnowa. Jest czwartek.

Jednak nie zostałem na noc, choć miałem rezerwację. Film skończył się o dwudziestej, wsiadłem do pociągu. Z kina pamiętam niewiele więcej niż ciepłą dłoń Elżbiety w mojej. Szybko zasnąłem, być może dlatego teraz już nie mogę. Uśpiły mnie te ziarniste obrazy, muzyka. A dzisiejsze zajęcia były bardzo męczące. Obudziłem się pod koniec filmu z silnym bólem pod czaszką. Tym właśnie.

Kobieta po prawej, ta od zapachu proszku, wyciąga z książki kolorowy obrazek z papieżem naszym Janem Pawłem i zaczyna szeptanie mantry.

Za trzy dni Niedziela Palmowa. Wystarczyło pięć razy pójść do kościoła, posiedzieć w przedsionku i jestem na bieżąco z rokiem liturgicznym.

Więc za dziesięć dni święta.

Ostatnie. Przedostatnie?

*

Kto powiedział, że zawsze ma być ciepło i tanio. Dzisiaj jest ciepło i drogo.

Wkładam do koszyka produkty: karton jajek, kiełbasę, szynkę, niech będzie. Mieliśmy trzymać dietę bezmięsną, ale nie w święta przecież. I liczę.

Rok temu za te same pieniądze można było kupić dwa razy tyle. A może dwa lata temu? A może trzy razy tyle?

Co tam się jeszcze kupowało? Co matka włożyłaby do koszyka, gdyby tu była?

Chrzan, ćwikła. Po namyśle dokładam majonez, pierwszy z brzegu, ale wymieniam, po kolejnym namyśle, na kielecki, omega trzy. Wyznacznik polskiej normy. Matka by wymieniła. Nie, matka od razu wzięłaby ten, co trzeba.

Ciekawe, czy produkuje się go na Kielecczyźnie?

Tyle pytań.

Odpowiedź na to ostatnie jest tuż pod ręką, dosłownie, ale nie sprawdzam. Co tam. Może boję się, że na etykiecie ujrzę Radom, Łomżę, Staniątki.

Dorzucam dwa znicze, po jednym od każdego. Skoro Maria jest z ojcem, mam chwilę, może podejdę na cmentarz, to przecież naprzeciwko. Bo zakupy robię w Mościcach, w ramach odskoczni od biedry i tłumu jej klientów, amatorów świątecznych sprawunków jak na czas apokalipsy.

Szukam cukrowego baranka.

Nie ma już tych cukrowych, mówi pani z obsługi, zaczepiona w okolicach słodyczy. Czekoladowe są.

Takiego to nie chcę. Z wyrobów czekoladowych biorę zająca o wyglądzie Mikołaja.

Odstaję swoje w kolejce, płacę, pakuję zakupy do auta, wcześniej wyjmuję znicze.

Za bramą cmentarza jest ciszej. Dawno tutaj nie byłem, tyle alejek, każda inna, ale każda podobna do tej, którą szedłem ostatnio. Właściwie: szliśmy. Ostatnio, w rocznicę śmierci chyba, prowadził ojciec. Prawie pół roku temu.

Czy dałby radę poprowadzić też dzisiaj?

Porzucam pytanie i wybieram jedną z trawiastych dróżek, tę po prawej, najbliżej ogrodzenia. Kluczę, czas mija, potykam się o groby, nierówne płytki, krzywą kostkę. Ślizgam się wzrokiem po napisach.

Labirynt z góry wyglądał na prosty. Na prostszy.

Kiedyśmy ją chowali, więcej ludzi wciąż żyło. Na przykład ci wszyscy, którzy mnie otaczają w tej chwili. Ze świeżymi datami śmierci, ostatnie dziesięciolecie, młody nieboszczyk. A niektórzy z obecnych tu ciałem jeszcze wtedy się nie urodzili.

W końcu trafiam, choć nie miałem metody.

Stoję, czytam inskrypcję. Zgarniam wypalone znicze w kształcie choinek różnej wielkości. I stroik, wyblakły plastik, udający świerkową gałązkę. Pewnie od którejś z przyjaciółek z przychodni, trzymały się razem do śmierci, a nawet po. Jedna z nich, z tego, co pamiętam, leży w którymś z sąsiednich grobów.

Choinki, no tak, byliśmy tu w grudniu, wyleciało mi. Pamiętam, że szklane drzewka kupiła nam pani Ewa, jeszcze była, na jakiejś promocji. Cały zagajnik z nich ustawiliśmy. Zostały trzy. Stawiam je rzędem za krzyżem, w głowach.

Kiedy zmarła, ojciec stał w nogach łóżka i płakał, a ja wyszedłem na zewnątrz z telefonem. Dzwonić do wszystkich. Starałem się pozostać zwięzły i w miarę rzeczowy.

Zapalam znicze, które przyniosłem. Rozkładam ławeczkę, jest niewygodna, za niska. Albo ja jestem za wysoki.

Potem papieros.

Czuję się trochę tak, jakbym spotkał znajomą z dawnych lat.

Urwał się kontakt.

Nie ma baranków cukrowych, obracam tę frazę w głowie i nie wiem: zabrakło na stanie czy należą już do przeszłości.

*

Słuchaj jakiejś pozytywnej muzyki, powiedziała Elżbieta. Nie wiem, *My favourite things* może. Więc znowu puszczam Coltrane'a.

Niedziela, wielka i długa. Przedsionek poniedziałku. Dlatego jej nie lubię – uprzedzenie z czasów szkolnych.

Siedzimy w ojca pokoju, kolorujemy trójkąty. To znaczy – on koloruje, a ja, z ekierką w ręku, rysuję spiralę Teodorosa.

Wcześniej dzwoniła Grażyna, aparat jest wciąż gorący.

Najpierw nieduży trójkąt prostokątny, równoramienny. Obok kolejny, którego dłuższa przyprostokątna jest przeciwprostokątną pierwszego. Dorysowuję krótszą, większy trójkąt opiera się na mniejszym. Potem następny. Przeciwprostokątne poprzednich stają się przyprostokątnymi kolejnych. I tak szesnaście razy, kilkanaście coraz bardziej strzelistych trójkątów, tworzących kształt przypominający muszlę ślimaka, konchę. *Mollusca*, *Conchifera*, *Gastropoda*, o ile pamiętam. Dorysowuję ciało i czułki, nieudolnie, brak mi tego talentu. Na koniec ojciec traktuje geometrycznego brzuchonoga kredką.

Nic nie mówi, jest nieuważny. Heniu, wyjechałeś za linię, chciałoby się powiedzieć.

Z Olą wychodzi to lepiej.

Nastawiam od nowa płytę. Po siedmiu minutach tytułowego utworu, czyli w samym środku, rozbrzmiewa dzwonek do drzwi.

Kto to?, gramolę się, naciągam bluzę i idę otworzyć.

Na ganku pani Piwońska z paterą: mazurek, sernik, makowiec i babka wielkanocna z lukrem. Obok babki bazie i bukszpan, skromna wiązanka, ozdoba.

Jasne, że babka! To mi chodziło po głowie w delikatesach, tego nie mogłem sobie przypomnieć.

Obejmuję paterę dłońmi, umieszczam ją na znajdującym się na ganku stoliku, przyjmuję życzenia, składam swoje, najlepsze, jakie mi przychodzą do głowy. Pani Piwońska odrzuca zaproszenie na kawę, w domu czekają goście. Pyta o zdrowie ojca, odpowiadam wymijająco. Dla mnie liczy się forma. Ta tu i teraz, dzisiaj, jest dobra.

Na koniec niemiły akcent, Heidi się wita lub żegna i zostawia ślady łap na trenczu w kolorze namiotu wojskowego. Oferuję pokrycie kosztów czyszczenia, sąsiadka macha ręką i już jej nie ma.

Więc Piwońska zamyka furtkę, pies biega wzdłuż ogrodzenia, wyraźnie jest zawiedziony, ja palę, siedząc na schodach. A za moimi plecami, dowiem się o tym za moment, Ten Drugi zlizuje z babki lukier, przydeptując łapkami pozostałe łakocie.

Zaczyna siąpić, na razie ze spaceru nici, pomimo tej dobrej formy. Zresztą zaprosiłem Marię na obiad, na dzisiejsze popołudnie. Trzeba się przygotować.

To nie są jej święta, na Ukrainie Wielkanoc jest później. Poprosiła o urlop, wyjeżdża w środę, nie będzie jej osiem dni. Wziąłem wolne.

To również nie moja bajka, przygotuję więc pomidorową z ryżem lub makaronem, a na drugie spaghetti z sosem pomidorowym. Ale żeby nie było całkiem nietradycyjnie, zrobiłem sałatkę jarzynową. A właściwie wciąż robię, bo muszę ją jeszcze dokończyć.

Podnoszę się ze schodów, oceniam kocią szkodę. Nic to. Łatwo przyszło.

Jestem gotowy.

Siadam za stołem kuchennym i kroję w jak najdrobniejszą kostkę ugotowane w mundurkach ziemniaki, marchewki, pietruszki, bulwy selera. Jajka i ogórki kiszone. Kwaśne jabłka, białą cebulę. Pedantycznie, równo, bardzo powoli.

Dosypuję do nocnego urobku.

Potem dwie puszki groszku. Przyprawy. Na koniec musztarda sarepska, majonez.

Ojciec śledzi moje ruchy z prawej, pies z lewej strony. Tak mija niedzielne południe i wczesne popołudnie, tak minął kawał nocy.

Spokojnie.

*

Poniedziałek, nie wielki, lecz długi. Jest jak druga niedziela z rzędu, przedsionek. Czas się zapętla. I znów ktoś dzwoni.

Ojciec drzemie, Cohen go uśpił. Nie spodziewam się gości.

Piwońska?

W progu stoi Kaśka, w tle Sylwia.

Jaka chuda, prawie bym jej nie poznał. Zapadnięte policzki. Rude włosy, jak te Joanny, lśnią w bladym słońcu.

Cześć.

Cześć, mówię, podaję jej rękę, uścisk ma wiotki. Zupełnie inaczej niż Sylwia, która uśmiecha się do mnie krzepiąco.

Wejdź. Wejdźcie, proszę.

Wchodzą, stoją na klatce w kurtkach i identycznych butach, wśród psich i kocich misek. Ja w górze od piżamy i dżinsach, boso. Cisza nagle się piętrzy, bo Cohen właśnie skończył. Kasia wpatruje się w moje kościste stopy, ja w tatuaż na dłoni Sylwii. Na palcach wzory indyjskie, poniżej nadgarstka słowo, pewnie akronim: YOLO. A u Kaśki, nad lewym kciukiem, pytajnik – czyżby lustrzany? Tak, przekrzywiam głowę. Nowość?

W końcu Sylwia zdejmuje kurtkę i pomaga Kaśce przy zamku, który się zaciął.

Z zewnątrz słychać drapanie psa.

Dzięki. Dziadek?

W swoim pokoju. W dawnym salonie, wskazuję dłonią na koniec korytarza, narzucam ojcowy polar, adidasy na gołe stopy, biorę z parapetu papierosy. W paczce są jeszcze cztery.

Otwieram drzwi, pies wbiega.

Wychodzę.

*

Potem powinien być obiad. Ale nie ma.

Odrobina zupy, resztka makaronu z sosem są dla ojca. Nie miałem planów dla siebie, a tym bardziej dla niespodziewanych gości.

Na stole stoi podłużna salaterka z sałatką tradycyjną i wbitą w środek na sztorc łyżką jak maszt. Obok chleb, już czerstwy. Jak na świąteczny stół wygląda to żałośnie.

I ciastka, jeżyki, na deser. Dziewczyny kupiły. I ten czekoladowy Mikołaj. A mogło być dużo lepiej, spoglądam wilkiem na kota. Myje się bezstresowo.

Ozdoba: bazie i bukszpan. Wszystko na odświętnym obrusie od babci Zofii, haftowanym w maleńkie żonkile i liczne plamy. Kronika wypadków wielkanocnych, dwie ostatnie dekady zeszłego, dwie pierwsze bieżącego stulecia. Południowa Polska.

Kaśka się nie odzywa i nie je, ma czerwone oczy. Zbudowała mur z paczek chusteczek higienicznych po swojej lewej, czyli od mojej strony. Musi być jej dziwnie, bo z regału patrzą na nią różne Kasie w każdym wieku. Kilkanaście i roześmiane. Kult wnuczki, dziadkowy ołtarz.

Ojciec dziadek mamrocze coś o tym, że dywan się dymi, że pożar i że Zenia, Zenia stoi za oknem. Uspokajam, że go zaraz ugaszę. Przytakuję, że ją zawołam. Odpowiada coś po swojemu.

Nikogo dzisiaj nie rozpoznał.

Sylwia niestrudzenie nawija o performatyce, głównym obszarze swoich zainteresowań. Szeroko, nie tylko spektakl, ale rytuał i zachowania codzienne. Powtarzanie, odgrywanie. Dlaczego ludzie robią to, co robią. Marzenie: stypendium w Stanach, na *performance studies* na Uniwersytecie Nowojorskim. Papiery już złożone.

Patrzę na Sylwię jak w obraz i przestawiam jak najdalej od niej dzbanek z kompotem. Niech ona tyle nie pije, niech przypadkiem znów nie wychodzi.

Bo mamy jeszcze kompot z suszonych jabłek, nawet dobry.

Kiedy Sylwia przycicha, wyciągam jak z rękawa kolejne koła ratunkowe z mojej działki: język, pragmatyzm, pragmatyka i performatyka w filozofii. Zwrot performatywny w humanistyce. Teoria aktów mowy. Semiotyka i semantyka. Związki z poststrukturalizmem i fenomenologią. Poznanie ucieleśnione. Koncepcje podmiotu. Rorty, Apel, Habermas, Butler. Tę ostatnią ledwie liznąłem, ale dobrze, skutecznie – performatywność płci to strzał w dziesiątkę. Filozofia feministyczna. Heteromatriks. Uwikłanie w płeć. *Queer theory*.

W przerwach odgrzewam zupę, przypalam makaron z sosem i znajduję w zamrażalniku lody.

Potem karmię ojca łyżeczką.

Kaśkowy mur kruszy się w oczach.

Sylwii topnieją tematy.

Kończą się moje koła.

A co znaczy ten tatuaż, podpowiada mi desperacja, ten skrót na ręce?

YOLO? *You only live once*, uśmiecha się do mnie.

A tak, słyszałem coś o tym, kiwam głową i czuję – dlaczego? – że robię się czerwony.

Jest późno.

Podwozimy je na dworzec do Mościc.

Dajcie znać, jak dojedziecie na miejsce, mówię.

Wio, koniku, a jak się postarasz, dorzuca ojciec.

*

[We fragmencie cytowane są (bądź parafrazowane) następujące utwory Marcina Świetlickiego: *29 grudnia*, *Mój Gdańsk*, *Jedenastego listopada* (z tomu *Ale o co ci chodzi?*, Wydawnictwo Wolno, Lusowo 2019) i *6 marca* oraz *Zimno i drogo* (ze zbioru *Delta Dietla. Wiersze 2013–2015*, EMG, Kraków 2015)].